

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY I POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnośnieniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedynczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO“ wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji **Zórawia 29 m. 2. Tel. 116-67.**

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. **REKLAMY** po tekście kop. 30 za wiersz petitu. **NADEŚLANE** na 1 stronie przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2 — 3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Milczący Posłowie.
Na Widnokregu Politycznym.
W obronie tradycji i cech narodowych.
5-ciokrotnie wypoliczkowany.
Echa: Wawel czy Paryż. Skandal publiczny.

Kultura estetyczna i kapitalizm.
Krytyka i sprawozdania.
Młodość Robotnicy.
Kronika.
Wiadomości Bibliograficzne.

NOWOŚĆ

CHOCHOŁ

Zbiór utworów satyrycznych wierszem i prozą.

Wydawnictwo „SPOŁECZEŃSTWA“.

Cena kop. 30.

Wobec kończącego się kwartału prosimy Szanow. Prenumeratorów o odnowienie przedpłaty na kwartał III i półroczu II.

MILCZĄCY POSŁOWIE.

Od zamknięcia sesji Dumy minęło już wiele tygodni.

O wypadkach podobnych frakcje parlamentarne w państwach istotnie konstytucyjnych śpieszą natychmiast złożyć wyborcom rachunek swego sumienia politycznego, z niepokojem oczekując na otrzymanie rozgrzeszenia za działalność przeszłą i na wskazówki co do kroków dalszych. Uczyniły już to te zśród rosyjskich frakcji dumskich, które zasady parlamentarizmu biorą poważnie i szczerze.

Natomiast posłowie burżuazji naszej, którzy przypisują sobie szczególne „instynkty i tradycje parlamentarne” milczą dotąd uporczywie.

Wraz z coraz większym przechylaniem się na prawo, Koło Polskie okazuje wciąż większe lekceważenie swych wyborców, co — nawiasem mówiąc — jest także skutkiem utrwalania się Dumy, której służa-

czość i pokorność rozprasza dla posłów naszych wszelkie obawy o możliwość rozwiązania Izby i konieczność poddania się nowym wyborom.

Lat poprzednich, prezydium Koła ogłaszało chociaż suchy, beztreściwy komunikat, wyliczający — bo nie omawiający — wystąpienie jego członków na polu działalności dumskiej.

Oczywiście komunikat taki nie przedstawiał dla wyborców żadnej wartości, był jednak jeszcze oznaką, że posłowie uważają się bądź co bądź za mandatarjuszów, nie zaś za ludzi, którzy — posiadłszy władzę — nie liczą się z jej źródłem.

Dziś i to zostało zaniechane. Przynajmniej do chwili obecnej Koło nie dało znaku życia, uznając najwidoczniej, że sejmiki relacyjne, czy inne, dostępne w naszych warunkach sposoby porozumiewania się z wyborcami należą do tych tradycji parlamentarnych, które przestały obowiązywać od czasu zagospodarzenia się w naszym kraju stronnictwa narodowo-demokratycznego.

A jednak gdyby posłowie polscy mieli poczucie obowiązku, właśnie ubiegła sesja Dumy zmuszałaby ich i dawała szerokie pole do złożenia sprawy z działalności Koła. Zarówno sprawy, z jakimi ono musiało mieć do czynienia w Izbie, jak i to, co działo się w łonie jego samego, domaga się oświelenia ze strony najbardziej zainteresowanej.

Wszak podczas minionej sesji zaszły w Kole Polskiem zmiany tak poważne, jak ustąpienie dotychczasowego *leadera*, jak reorganizacja wewnętrzna, polegająca na zniesieniu godności prezesa. Podczas tego też okresu odbywały się wewnątrz Koła mniej lub więcej silne tarcie między prawem jego skrzydłem, ciężącym coraz bardziej ku „ugodzie”, a lewem, pozostającym na stanowisku dawnej Demokracji Narodowej. Wreszcie wyborcy nie są zupełnie powiadomieni o powstaniu i rozwoju myśli oddania przez Koło połowy mandatów realistom, jak również o motywach, które wpłynęły na poniechanie tego zamiaru.

W samej Izbie przed Kołem stawały sprawy pierwszorzędnej wagi, jak kara śmierci, rozwiązanie „miru”, organizacja policji tajnej i „azefizm”, tolerancja religijna, prześladowanie zawodowego ruchu robotniczego, oddzielenie Chełmszczyzny... Niewątpli-

wie, że motywy tego lub innego stanowiska Koła we wszystkich tych sprawach znajdowały wyluszczenie w mowach poszczególnych posłów, ale niewątpliwie jest, że tym argumentem Koło nie wolno się zasłaniać. Inaczej przemawia się w *plenum* Dumy, inaczej do własnych wyborców, którzy mają prawo chcieć wysłuchać i — osądzić.

Że burżuazja nasza, którą jedynie to zresztą może obchodzić, bo pozaburzuazyjne, radykalne sfery nie uznają Koła za swoje przedstawicielstwo, — że więc burżuazja polska nie domaga się relacji poselskich dowodzi tylko wszelkiego w niej braku zmysłu politycznego i zahukania przez klikę dmowszczyków.

*

*

*

Jakże inaczej patrzą na obowiązki wobec wyborców posłowie — rosjanie! Jak inaczej rozumieją konieczność i znaczenie jak najściślejszego związku między mandatami a mandatarjuszami!

Oto, dla przykładu, co „nie posiadający tradycji parlamentarnych“ przywódca „kadetów“, Milukow mówi wyborcom na swym sejmiku relacyjnym:

„Działalność moja i moich towarzyszy frakcyjnych leży przed wami otworem. Codziennie poznajecie ją szczegółowo z dzienników. Ale, rzecz prosta, tej drogi nie uważaliśmy nigdy za dostateczną. Wskazywaliśmy zawsze na bezwzględną konieczność ciągłego związku moralnego między wyborcami a posłami. Tylko tego rodzaju ciągły związek, tylko świadomość, że czyni się to, co wyborca pochwała, może natchnąć wyborców naszych mocą, a głos ich w pałacu Taurydzkim — właściwą donośnością. Ale, prócz tego, że czujności waszej potrzebujemy ze względów *praktycznych*, trzeba nam jej także ze stanowiska *teoretycznego*. Związek między wyborcami a posłami jest konieczną rękojmą, aby ustrój konstytucyjny w Rosji istotnie zapanował. Wy, panowie wyborcy, razem wzięci, tworzyście takie same narzędzie władzy państwowej, jak wasi wybrańcy w Dumie. Władzę, z której oni korzystają, otrzymali od was: wy, można powiedzieć, stanowicie wspólnie większą Dumę, rozrzuconą na przestrzeni całego Imperjum.“

W. Wr-ski.

NA WIDNOKRĘGU POLITYCZNYM.

Z ŻYCIA ORGANIZACJI ROBOTNICZYCH.

Organizacje pracowników przedsiębiorstw państwowych i miejskich rozwijają w ostatnim czasie na całym świecie wyjątkowo energiczną działalność. Organizacje te dotychczas odznaczały się wyjątkową biernością i t. z. umiarkowaniem i stawiane były za przykład organizacjom robotników przemysłu kapitalistycznego. Obecnie role się zmieniły. A zmienić się musiały, gdyż zmieniły się warunki pracy i bytu tej grupy pracowników. Minęły czasy, kiedy państwo i gmina celem zachowania rasy, poczuwały się do obowiązku służenia przykładem dla przedsiębiorstw prywatnych. Zakładano szeregi instytucji mających na celu ochronę zdrowia i życia robotnika, zabezpieczenia mu znośnej starości oraz bytu jego sierotom i wdowom, wprowadzono krótki, w wielu wypadkach 8-o godzinny dzień roboczy, zastosowano we wszystkich możliwych wypadkach udoskonalone narzędzia, oszczędzające siły robotnika. Z przykładu tego przemysłowcy korzystali

rzadko i niechętnie, natomiast służyły przedsiębiorstwa publiczne za wzór i probierz organizacjom zawodowym przemysłu kapitalistycznego, które w żądaniach swych kierowały się warunkami ustalonymi w przedsiębiorstwach gminnych i państwowych.

Tworząc dla pracowników swych wyjątkowo pomyślne warunki pracy, gmina i państwo miały jeszcze na celu zabezpieczenie się od wstrząśnięć ruchu robotniczego; dążyły one do utworzenia szeregów robotniczych niezachwianych przez ferment ogólny, przywiązanych do swego stanowiska. I istotnie wzmian za pomyślne warunki pracy wymagano od robotników absolutnego posłuszeństwa i zastosowano do nich żelazną dyscyplinę. Ten drugi cel został w zupełności osiągnięty. W wielu krajach i miastach, zwłaszcza w Niemczech, przez długi czas nie zauważono żadnej próby organizacji wśród pracowników tej kategorii; w innych krajach, gdzie organizacje takie istnieją należały one zawsze do najbardziej umiarkowanych, często nawet reakcyjnych. Pracownicy Francji i Anglii potrafili w wielu wypadkach zamantestować swoje stanowisko i odciąć się linią demarkacyjną od proletariatu państwowego.

Aliści państwo i gminy uśpione powodzeniem poprzestały na tych pierwszych krokach, podczas gdy organizacje zawodowe potrafiły w wielu gałęziach przemysłu prywatnego wywalczyć znaczne ustępstwa i poważnie polepszyć swój byt. I oto role się zmieniły: przemysł prywatny służy obecnie za wzór przemysłowi zmonopolizowanemu i we wszystkich krajach robotnicy tego ostatniego występują do walki o lepsze warunki bytu. W Niemczech po nieśmiały i chwiejnych wystąpieniach nauczycieli i pocztowców, widziimy energiczne, gwałtowne nawet wystąpienie pracowników municypalnych w Kiel, kolejarzy angielskich, robotników miejskich w Paryżu, kolejarzy francuskich i t. p. Zauważyć się daje przytem nader charakterystyczny objaw: gdzie brak organizacji, ruch odznacza się gwałtownością, gdzie istnieją organizacje stare i wyszkolone, ruch odznacza się systematycznością i spokojem. W Kielu odbywają się uliczne utarczki z policją, kolejarze francuscy i proletariaty municypalny Paryża posyła petycje do rządu i municypalitetu, parlament francuski gniewa się pod naciskiem olbrzymiej zorganizowanej potęgi, rada miejska ustępuje przed widmem ogólnego ruchu pracowników miejskich.

Ruch ten, który akcentuje się na całym świecie, nie wyłączając Ameryki i Australji zatrzyma się znów na pewien czas dopiero wówczas, gdy pracownicy państwa i gminy znów wyprzedzą proletariaty przemysłu kapitalistycznego.

Strajk pracowników morza we Francji zakończył się zwycięstwem robotników. Po długim bezrobociu, wobec oporu przedsiębiorców rząd, na wezwanie parlamentu, wziął na siebie rolę pojednawczą i skłonił przedsiębiorców do ustępstwa. Marynarze domagali się warunków pracy takich, jakie posiadają pracownicy przemysłu: ograniczony dzień pracy, wypoczynek tygodniowy, wymówienie pracy w określonym terminie i t. p., dotychczas bowiem pracowali oni w warunkach bardzo zbliżonych do średniowiecznych galerników. Strajk ten, który dzięki jednomyślności marynarzy i solidarności ruchu odciął na czas pewien Francję od Kolonji, zwłaszcza od Algerji, gdyż towarzystwa francuskie posiadają monopol żeglugi. To też skoro tylko strajk wybuchł, związki handlowe zażądały zniesienia monopolu w celu udostępnienia rynku afrykańskiego, i minister handlu złożył izbie odpowiedni projekt prawa, wszakże parlament cofnął się przed następstwami tego kroku

i zawezwał rząd do położenia kresu strajkowi drogą porozumienia się i pojednania.

Organizacja górników angielskich, najpotężniejsza organizacja robotnicza świata, zrzeszająca przeszło 500,000 robotników powzięła w tych dniach uchwałę, która powinna była pociągnąć za sobą największy w dziejach strajk.

Na skutek uchwały przez parlament prawa o 8-o godzinnym dniu roboczym w kopalniach węgla, wielcy przedsiębiorcy kopalniani postanowili: 1) podwyższyć cenę węgla; 2) obniżyć płacę roboczą; 3) wprowadzić w kopalniach Galji warunki pracy panujące w zagłębiu Yorkshirskim i na Północy Anglii, mianowicie co się tyczy podziału pracy i nocnej zmiany.

Robotnicy odpowiedzieli stanowczą odmową i odwołali się o pomoc do ogólnej Federacji górników angielskich, która po pięciogodzinnych naradach postanowiła poprzeć stanowisko górników Galji wszelkimi środkami, nie wyłączając strajku powszechnego. Łatwo wyobrazić sobie popłoch, wywołany uchwałą tą w całym społeczeństwie. Organizacja górników jest zbyt potężna aby można lekceważyć jej uchwały, a strajk powszechny górników wstrzymałby niebawem cały przemysł angielski i spowodowałby olbrzymią klęskę narodową. To też liberalny gabinet, który kilka miesięcy temu zażegnał grożący strajk powszechny kolejarzy i tym razem wywarł nacisk na przemysłowców w kierunku pojednawczym. Nazajutrz po uchwale organizacji robotniczej Rada Pojednawcza Galji wyjednała od przedstawicieli przemysłowców zobowiązanie, iż nie wprowadzą żadnych zmian, dotyczących warunków pracy i płacy bez uprzedniego porozumienia się z organizacją robotniczą. W razie niezgody postanowiono odwołać się do sądu rozjemczego. Wreszcie, co do 60 godzin pracy nad normę w ciągu roku przewidzianych przez nowe prawo, zdecydowano przedłożyć tę sprawę specjalnej komisji, złożonej z przedstawicieli organizacji robotniczej i przedsiębiorców.

W ten sposób wystarczyła uchwała potężnej organizacji, aby zmusić przedsiębiorców do poszanowania prawa.

Organizacja metalowców amerykańskich znalazła się wobec poważnego zadania. Towarzystwo blachy białej postanowiło wydać wszystkich robotników, należących do związku metalowców. Naskutek tej uchwały związek metalowców w Pittsburgu ogłosił strajk, w którym wzięło udział 10,000 robotników. Zaręczenie ten posiada pierwszorzędne znaczenie, gdyż Towarzystwo blachy białej jest oddziałem wielkiego trustu stalowego Stanów Zjednoczonych, którzy w razie przegranej robotników przystąpi do systematycznego wydalania robotników zorganizowanych w związkach. Jest to więc sprawa życia i śmierci setek tysięcy robotników.

Zarówno Towarzystwo, jak robotnicy zdecydowani są walczyć do ostatka.

Organizacje robotników w Turcji powstają i rozwijają się nader szybko na terenie nowego ustroju państwowego. Wiemy, że nowy rząd nie obdarza ich zbyt dużą sympatią, wszakże zdecydowane stanowisko robotników zdobywa prawo obywatelstwa dla organizacji zawodowych. W tych dniach odbył się w Salonikach wielki wiec, zwołany przez 23 organizacje zawodowe wielkiego portu tureckiego. Wzięło w nim udział około 6000 robotników, przema-

wiali przedstawiciele wszystkich narodowości—Turków, Greków, Żydów, Bułgarów i t. d.

Faktem jest, że w tej Macedonji rozdieranej przez najokrutniejszą nienawiść rasową i religijną zdołała wprowadzić pokój, zaczerpnie on bowiem ze źródła solidarności interesów robotniczych ideę pokojowego i bratniego współzycia. I robotnicy macedońscy doskonale sobie ten stan rzeczy uświadamiają. Oto kilka uchwał, powziętych na wiecu jednomyślnie: „Nędzne położenie klasy pracującej w Turcji może być polepszone jedynie drogą organizacji związkowej; związki zaś mając na celu polepszenie bytu pracowników, czyli znacznej większości ludności, nietylko nie są przeszkodą dla rozwoju gospodarczego Turcji, ale są czynnikiem nieodzownym pomyślnego rozwoju kraju, który dzięki organizacjom robotniczym postępować będzie w zdrowszym pod względem społecznym, warunków—jak tego dowiódł przykład zachodu

„Jedynie dzięki organizacjom robotniczym rozmaite narodowości Turcji nauczą się żyć w zgodzie, pracownicy tworzący olbrzymią masę ludności potrafią na terenie wspólnych interesów ustalić pokój niezbędny krajowi”.

Wreszcie uchwała stwierdza nietykalność prawa o zgromadzeniach i domaga się prawodawstwa robotniczego, ustanawiającego prawa organizacji robotniczych.

Almar.

W OBRONIE TRADYCJI I CECH NARODOWYCH.

Z powodu sprawy Feldmana stworzona została bogata literatura; uformowały się też obozy, partje. Ze sporu czysto literackiego uczyniono humbug rasowo-narodowościowo-wyznaniowy.

Nie chodzi mi jednak w tej chwili o Feldmana, chodzi mi natomiast o Weyssenhofa, któremu znów chodzi o Feldmana.

W „Tygodniku Ilustrowanym” p. J. Weyssenhof umieścił niedawno artykuł o „Estetyce pana Klejnoty (czytaj: Feldmana). Autor artykułu po przeczytaniu grubego kodeksu o literaturze współczesnej „doznał chwilowego zaniku swych pojęć o istocie i zaletach literatury”. Zdaje mu się, że „niema już poetów, ani indywidualów w piśmiennictwie, jest tylko długi szereg mniej lub więcej uzdolnionych filozofów społecznych”, którzy przysli pod sąd p. Feldmana.

P. Feldman zaś oblicza wartość artystów wyłącznie „dla postępu świata, w którym będzie Klejnotom najprzyjemniej, najwygodniej, najkorzystniej”.

Nie byłoby jednak jeszcze tak źle, gdyby nie spotykało się coraz częściej ludzi, duchowo spokrewnionych z Feldmanem; „miewają nawet nazwiska rdzennie polskie... bywają nawet hrabiami”. Panu Weyssenhofowi nie chodzi jednak o to, że p. Feldman urodził się żydem. „Są żydzi, którzy przynoszą zaszczyt polskiemu piśmiennictwu”.

Idzie mu natomiast o „żydowską etykę, filozofję i estetykę, przenikające coraz głębiej życie nasze społeczne i tego życia kwiaty: sztukę i literaturę”.

Wobec tego, że żydzi u nas stanowią ogromny procent ludności, „poprostu obowiązkiem staje się obrona tradycji i cech naszych narodowych od moźnego wpływu skonfederowanego i apostołującego Izraela”.

Po przytoczeniu tych klejnotów, a właściwie złotych myśli p. Weyssenhofa możemy łatwiej się zorientować o co autorowi w gruncie rzeczy chodzi.

Nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że p. Weys. nie wypowiedział wszystkiego, nie przytoczył jeszcze kilku zdań niezmiernie doniosłego i (co najważniejsze) aktualnego znaczenia. Nic nie powiedział nam np. w obronie „zagrożonej ojczyzny” i „katolicyzmu”. A szkoda. Mielibyśmy wówczas do czynienia z charakterystycznym dziś typem inteligentnego ideologa „czarnej zgrai”, obłudnie wierzącego w niebezpieczeństwo, grożące ojczyźnie i religii, szepczącego różańce i wzywającego do nieba o zesłanie kary i pomsty na głowy „sprzedawczyków”, „bezbożników”, „herezyków-masonów” i t. d. Ponieważ jednak p. Weys. nie rzucił tych haseł, mamy prawo tylko zaliczyć go do grupy ludzi stojącej coprawda na lewo od „zgrai”, lecz wielce duchem do niej zbliżonej.

Sprawiedliwość wymaga uczynić tak a nie inaczej jeszcze z tego względu, że autor nie należy do fanatycznych wrogów żydostwa, albowiem twierdzi, że „są żydzi, którzy przynoszą zaszczyt polskiemu piśmiennictwu”.

Wielce ciekawe jest — jacy to żydzi?

Warunki materialne w dobie kapitalizmu tak nieszczęśliwie składają się dla świata artystycznego, że każdy z twórców chcąc oddać się wyłącznie sztuce musi szukać swego protektora, który dla zaspokojenia uczucia próżności służy swoim poparciem. A ponieważ uczucie to najsilniej rozwinięte jest wśród burżuazji żydowskiej, przeto, rzecz prosta, najcenniejszej w tej sferze spotyka się otyłych bankierów — mecenasów, którzy kręcą się wokół gwiazd i gwiazdeczek literackich, rdzennie polskiego pochodzenia i stają się wydawcami ich dzieł. Za złe im tego brać nie można, albowiem ci ludzie mogą tylko w ten sposób „przynieść zaszczyt polskiemu piśmiennictwu”. Czy tych żydów wyróżnia pan Weys. Stawiamy pytanie to dlatego, że pogląd taki świetnie licowałyby z innymi poglądami autora.

Ze względu zaś na to, że w dobie kapitalizmu sfery rdzennie polskie, a nawet arystokratyczne oddają się operacjom pieniężnym, bankowym, przeto i do nich przenika „żydowska” idea popierania sztuki.

I tam się rodzą mecenas. A więc najpewniej dlatego p. Weys. doznał chwilowego zaniku pojęć że dowiedział się, iż są ludzie, przejęci żydowską estetyką, — ludzie noszący „nazwiska rdzennie polskie... bywają nawet hrabiami”.

W zakończeniu godzi się zwrócić uwagę na jeden jeszcze szczegół. Pan Weys. nie widzi w kodeksie literatury współczesnej „istoty i zalet literatury” ponieważ pod płaszczykiem oceny artystycznej przeprowadza się filozofję, etykę, estetykę, i do tego żydowską. Żąda przeto obrony w literaturze „tradycji i cech narodowych polskich”.

Autor w chwili zaniku pojęć zapomniał że wówczas może się zjawić jakiś trzeci artysta, który również niedostrzeże „istoty i zalet literatury” dlatego, że jakiś pan Gomułicki lub p. Weys. indywidualnie rozumiejąc tradycje narodowe, pod płaszczykiem literatury „pięknej” przeprowadzi demagogię wszechpolską. Na widok zaś tego przykrego obrazu ten ktoś trzeci doznać może takiego zamętu pojęć, że trzeba będzie go na czas dłuższy oddać do domu obłąkanych...

Henryk Lukrec.

5-CIOKROTNIE WYPOLICZKOWANY.

Liczna warstwa pracowników biurowych, kantowych, sklepowych i administracyjnych dotąd nie miała i niema swej trybuny, skąd wyraźnie, szczerze i ze znajomością rzeczy rozlegałyby się głos w ich obronie, w obronie ich interesów materialnych, mo-

ralnych i kulturalnych. Różne organy od czasu do czasu zjawiające się, różne „Gońce Handlowe”, „Pracownicy”, „Handlowcy”, z całym niczem nie usprawiedliwionym, częstokroć komicznym, a zawsze szkodliwym aplombem, głoszące o rzekomem ich stanowisku obrony praw pracownika przemysłowo-handlowego, z ich, powszechną wesołością wzbudzającymi „radami dla rozumnych i uczciwych szefów”, lub pensjonarsko-naiwnymi „odezwami” w różnych bolączkach tego świata, różne te organy służą jedynie za dowód, że warunki ogólnospołeczno-polityczne, i specjalnie zawodowe, są tego rodzaju, że wielotysięczna warstwa pracowników omawianej kategorii, nie może się zdobyć dotąd na rzetelną organizację swych sił, ani nawet na pismo, przemawiające w ich obronie — bez zastrzeżeń, bez tchórzostwa, bez obłudnej sielankowej frazeologii. A jak jedna i drugie jest niezbędnie potrzebne, jakimby ożywczym czynnikiem były w naszej atmosferze cloacae maximae, każdy zdaje sobie z tego sprawę, każdy, kto stykał się z tym światem, gdzie wyzysk, pęcherzowa nadętość, snobizm, moralność Dulskiej i bezczelność kreator Mirbeau z wysokości swej nikczemności tryumfująco królują nad rozproszoną, bierną, cechowymi szczątkami karmioną i złudnymi nieziszczalnymi nadziejami — sielankowo-solidarystycznymi, bałamuconą rzeszą proletariatu urzędniczo-biurowego. A cisza, która otacza świat ten, zastój, w którym jest pogrążony, martwość ducha i umysłu, w której wegetuje, bynajmniej niema piętna zaklęcia, statycznie jest on pożałowania godny, dynamicznie musi nauczyć się czuć i myśleć samodzielnie, działać organizacyjnie i sprężyć się. Tymczasem jednak tylko jakiś rozpaczliwszy odruch jakiegoś śmiałka od czasu do czasu wskazuje na anormalne warunki, jakiś krzyk duszonych i gnębionych istnień woła o swe prawa, tylko trzask wymierzonych policzków odsłania haniebne i potworne stosunki, w jakich żyjemy.

Obecnie szef biura akc. tow. „Dziwulski i Lange”, p. Stanisław Normark, został *zbiorowo*, pięciokrotnie wypoliczkowany przez pięciu współpracowników tej firmy. Akt ten oczywiście jest jeno finałem kilkuletnich niemożliwości, które w tem przedsiębiorstwie okazały się konkretnymi „możliwościami”. Korzystając z niepojętej wprost pobłażliwości i protekcji dyrektora zarządzającego i członka zarządu, Augusta Dobrowolskiego, p. Normark, działał z jednej strony na szkodę firmy, w której pracował, dopuszczając się takich niewinnych manipulacji, jak wychlorkowywanie pozycji kasowych, przywłaszczanie sobie sum firmowych lub pokrywanie osobistych zobowiązań towarem firmy, nad czym się bliżej nie zatrzymujemy, interesować się tem bowiem jest rzeczą akcjonariuszy. Natomiast stosunek p. Normarka do kolegów biurowych opierał się, korzystając z uprzywilejowanego stanowiska, (brat jego jest dyrektorem tego tow. akc. w Sławiańsku, gub. Charkowskiej), na poniewieraniu na każdym kroku ich godności osobistej, szykanowaniu, drażnieniu i prowokacji. „P. Normark — czytamy w memorjale, złożonym na ręce dyrektora Dobrowolskiego — jest pyszny, arogancki, pomiatający wszystkimi, zabijający najsłabszą samodzielność i nie mogący znieść cudzej indywidualności; z nim żaden człowiek pracować nie zdoła; słabszy intelekt zmarnuje się, silniejszy będzie się szarpał do czasu i wreszcie, doprowadzony do ostateczności, wybuchnie resztką dławionego człowieczeństwa”. Jak zwykle się dzieje, w stosunku do wyższych od siebie, możliwości i silniejszych, pan ten „uprząwia z zasady bizantyjski serwilizm, wymagający bezkrytycznego kiwania asyryjską brodą i aprobowania wszystkiego, co władza postanawia, byle się nie narazić”.

Nim jednak jeszcze wybuch nastąpił, jedenastu ludzi, kilkuletnich pracowników, wszyscy z poważnymi rodzinnymi obowiązkami, tem godnym napiętnowania

zachowaniem się dyrekcji wyczerpanych, zmaltretowanych i sprowokowanych, podało się do dymisji, moralnie ich do tego zniewolono, są nimi pp. Zygmunt Martini, Juljan Zborowski, Lucjan Henneberg, Tomasz Matuszewski, Stefan Hruzki, Leonard Walicki, Edmund Dowgiałło, Wacław Olbrycht, Tadeusz Łastowiecki, Edward Modrzejewski, Ludwik Młodecki. Ale odtąd, rzecz naturalna, w każdej chwili i przy łańcuchu okazji spodziewać się można było silniejszej reakcji — i ta nastąpiła, nastąpić musiała. Wymienieni zwrócili się do Stowarzyszenia kupców, Związku buchalterów, Stowarzyszenia techników i Koła Kronenberczyków, jako do ciał, członkami których są pp. Dobrowolski i Normark, z prośbą o wydanie „opinji“ w całym tym konflikcie, będącym jaskrawym tylko ogniwem w łańcuchu nieprzerwanym krzywd, anomalji, nadużyć, wyzysku i samowoli, jaki opasuje świat proletariatu biurowego. Możeby przecież, — faute de mieux, — „Kultura Polska“ zajęła się tą sprawą życiową, najmniejszymi węzłami z naszą kulturą spojenymi.

Cz. Hul.

E C H A.

WAWEL CZY PARYŻ.

W numerze 292 warszawskiego „Gońca“ zamieszczony został na naczelnem miejscu bardzo charakterystyczny artykuł p. T. G. p. t. „Pietyzm czy profanacja?“ — wymierzony przeciwko sprowadzeniu prochów Juljusza Słowackiego na Wawel. Autor, zastanawiając się nad teraźniejszym stanem psychicznym społeczeństwa, nad czasami („były gorsze, podlejszych nie było“...) dochodzi do przekonania, że obecna chwila „przeszacowania wszelkich wartości w kierunku „trzeźwości“ i „realizmu“ — pozostaje w rażącej sprzeczności z całym duchem i życiem Słowackiego. Przeszacowanie to — zdaniem p. T. G. — „nie pozostawia miejsca na prawdziwy kult poety“, „pozwała chyba *tylko* (!) zachwycać się cudowną formą i żywić uznanie dla jej mistrza“. I konkluduje: „w takim razie niema i nie może być mowy o obchodzie narodowym, ani o oddaniu należnej czci duchowi człowieka i poety“...

Podzielając w zupełności pesymistyczne zapatrywanie autora znamienego artykułu na „nastrój“ dawniej jałowo — rozpolitykowanej, dziś zaś skabareciałej i zmomusiałej „społeczności“ — nie możemy nie dostrzedz także odwrotnej strony medalu.

Osobiście jesteśmy zdania, że kult prochów — obniża kult dla wiecznego Ducha prometejskiego twórcy. O ile nam wiadomo już w zeszłym roku ukazał się w druku protest przeciwko sprowadzeniu zwłok poety do kraju — ze stanowiska przyrodniczego — od p. Feliksa Piotrowskiego*). Autor dowodził, że „ułatwianie rozkrzewiania się jakichś nowych dla społeczeństwa, a w istocie rzeczy *pierwotnych objawów uczucia religijnego* przez obrzęd przewiezienia trupa, pogrzebanego już przed 60 laty w miejscu przeznaczonym na grzebanie ciał ludzkich, nie przyczyni się do niczyjego udoskonalenia“; że „niewątpliwie i w dążności zajęcia narodu przywiezieniem do kraju zwłok Słow. kryje się brak rzeczywistej kultury i wolność do uczuwania większej miłości dla trupich kości, niż dla żywego ludu, oraz do starania się o różę podczas pożaru lasów życiowych“. To było „niemiłe“. Następnie niżej podpisany zamieścił na wiosnę r. b. — a więc na kilka miesięcy przed artykułem w „Gońcu“ szkie satyryczny w lubelskim „Kurjerze“ p. t. „Sło-

*) „Znaczenie przywiezienia do kraju zwłok Słowackiego“ napisał Feliks Piotrowski, Warszawa.

wacki w Krakowie“, w którym włąbiwszy się w rewolucyjny nastrój owej naszej i galicyjskiej „społeczności“ — przewidział zarówno wczorajsze prowokacje policyjne w Krakowie, jakie towarzyszą sprawie obchodu, jak również i to, o co głównie, jak się zdaje, chodzi p. T. G. że „w dzisiejszych okolicznościach, przy obecnym stanie opinji, obchód nie obejdzie się bez wstrętnych epizodów, urągających poprostu pamięci wielkiego poety“.

P. T. G. powołuje się z emfazą na czterowiersz Słowackiego z wiersza do Matki, w którym — *według niego* — Słowacki... wypowiada się przeciwko sprowadzeniu zwłok do kraju.

Pomijam rażącą nielogiczność naciągania tego wiersza do sprawy wawelskiej, dziwi mię tylko: — jak u tak utalentowanego publicysty „narodowca“ — nieznamość czy zbyt powierzchowna znajomość pism Słowackiego. (Że p. Feldman mógł co do Słowackiego być nie zupełnie korrekt — wybaczenie mu teraz, panowie!)

Otóż autor artykułu, cytując na poparciu swej tezy czterowiersz Słowackiego, — że użyję tu zwrotu z pewnej bajki Kryłowa: — „słona to i nie primietiał...“

A oto ten „słoń“:

W „Poemacie Piasta Dantyszka o Piekło“ w apostrofie do Polski czytamy słowa:

„Polsko ty, moja! Gdy już nieprzytomni

Będziemy — wspomnij ty o nas — o, wspomnij!

Wszak myśmy z Twego zrobili nazwiska

Pacierz, co płacze i piorun co błyska!

A dosyć, że się zastanowisz chwilę;

Jaka tam cisza na naszej mogile...“

To chyba jeszcze „wyraźniejsza odpowiedź“, to rzekłbym, *duchowy testament i wola wieszczca*. Te „dosyć“ Słowacki, ten boski truciznodawca, znał jak nikt inny swój naród. A że go znał, więc *nie chciał* mu „świecić prócnem swoich kości“ (Kordjan).

To wiedzieć powinniśmy wszyscy i przy tem stać. A gdy mimo to, dziś cała Polska oświadczyła się za sprowadzeniem zwłok wieszczca; dziś, gdy głosy protestu czy to ex kathedra przyrodnika, czy z komnaty kardynalskiego pałacu muszą przed jej wolą ustąpić, dziś, gdy walka z trupim klerykalnym *puzynizmem*, wypowiedziana na tem tle przez radykalizm polski i wolnomyślicielstwo — dla wcielenia w życie ideałów „antynarodowego“, „błuznierczego“ i „rewolucyjnego“ barda ludu, — toczy się na śmierć i życie — nie godziło się, panie T. G., występować w „Gońcu“ ze swoim protestem i osłabiać kampanję przeciwko skonsolidowanej i wspólnym duchem rozkładu owianej kosmopolitycznej, czarnej międzynarodowce, przeciwko „legjonom zjadliwym robactwa“ (Słowacki). Dziś należało — dla wielkiego imienia poety — zsolidaryzować się w tej walce z nienawistnemi wam radykałami i wolnomyślicielami, — których „proroczość“ jeszcze nie raz ujrzycie...

Józef Mondschein.

SKANDAL PUBLICZNY.

Z rozmysłem nie zabieraliśmy dotychczas głosu w sprawie „Przeglądu Porannego“ przypuszczając, że nastąpi jakiś epilog, niezmiernie pożądanym w interesie zarówno obu stron i współpracowników, jak i samego pisma. Po zakończeniu zaś sprawy ograniczylibyśmy się tylko krótką notatką o znaczeniu zatargu dla dziennikarstwa polskiego.

Atoli dalsze konsekwencje wyroku i bezwzględne postępowanie strony pozyskującej wprowadza sprawę w drugą fazę, w fazę publicznego skandalu. Postępowanie sekwestratora i jego obrońców wydało się nam podczas sprawy nie we wszystkim odpowiadają-

jące elementarnym zasadom etyki obywatelskiej. Po zwróceniu się do źródeł, przekonaliśmy się, że zachodziły pewne okoliczności, których na sądzie poruszać nie było wolno, z chwilą zaś kiedy ujawniono je publicznie należało przytoczyć jeden niezmiernie ważny epizod, który poprzedził sprawę sądową. — Trzeba było podać do wiadomości ogólnej, że toczono obrady przy udziale arbitrów i że p. Ludwik Fryze bynajmniej nie kwestjonował *prawa własności* p. Czempińskiego do wydawnictwa „Przeglądu Porannego” i że nie z tego powodu obrady nie przyniosły wyników pozytywnych, lecz dlatego, że p. Czempińskiemu chodziło o *sposób podziału* własności.

Wynosząc przed forum sądu i publiczności zatarg majątkowy, obrońcy p. Czempińskiego nie zawahali się jednak powiedzieć wszystkiego co mogło zaszkodzić osobie trzeciej, narażając ją na przykre ewentualności, nie wyłączając utraty wolności. Idzie bowiem o to, że obrońcy usiłowali dowieść, iż „Przegląd Poranny” i „Kurjer Poranny” jest to jedno wydawnictwo, a nazwisko osoby podpisującej obecnie Przegląd nie posiada w tym wypadku najmniejszego znaczenia, gdyż jest to szyld, wywieszony po to jedynie, by móc obejść przepisy administracyjne, zakazy stanu wojennego.

Nie chcąc wynosić na światło dzienne innych sztuczek, których chwytało się i chwytano w dalszym ciągu dla dopięcia zamierzonego celu, ograniczymy się do wyrażenia opinii o całej tej aferze.

Przedewszystkiem widzimy plus po stronie p. Fryzego, który ze względu na osobę trzecią nie wyzyskał wszystkich atutów prawnych, będących w jego ręku. Natomiast widzimy znaczny minus po stronie pozywających, którzy, odrzuciwszy wszelkie uboczne względy bez ceremonii używali wszelkich godziwych i niegodziwych sposobów dla uzyskania sekwestru.

Wskutek powyższego sprawa przestaje być zatargiem prywatnym, lecz staje się sprawą publiczną. Odrzucamy przeto zasadę milczenia i protestujemy z całą stanowczością przeciw zachowaniu się towarzystwa sekwestratora, które z pisma będącego jednym z kierowników opinii publicznej czyni arenę dla popisów przysięgłych najmitów.

Wciągając pismo w sferę skandalu, którego końca przewidzieć nie można, rozpoczyna się gra niebezpieczna, będąca zazwyczaj niezwykle płodną w wszelakiego rodzaju gwałty. Nikt nie ośmielił się twierdzić, że to w sposób dodatni oddziałuje na opinię publiczną, podobnie jak w sprzedajności prasy nikt nie będzie upatrywał czynnika umoralniającego.

JAN GAULKE.

KULTURA ESTETYCZNA I KAPITALIZM.

IV.

(Ciąg dalszy)

Wartość sztuki w społeczeństwie kapitalistycznym.

We wszystkich dziedzinach twórczości artystycznej, w teatrze, literaturze etc. daje się zauważyć obniżenie wartości sztuki. Dzieło sztuki-ocenia się dziś nie według jego istotnej wartości, lecz według zysku, jaki dać ono może. — Ogromne szkody na pola sztuki wyrządziła t. zw. „technika reprodukcyjna”, prawdziwe dziecię przemysłu.

Początkowo reprodukcja w rękach artysty odgrywała rolę środka, utrwalającego idee, umożliwiała też zdobywanie prostą drogą obszernego materiału

do studjów (np. fotografia), dziś zaś reprodukcja hamuje rozwój sztuki, staje się celem sama w sobie.

Artystyczna reprodukcja jest wynalazkiem twórców średniowiecznych. Miedzioryty i rzeźba pierwsze swoje tryumfy święciły w XV i XVI stuleciu. Wielcy mistrze niemieccy epoki Reformacji, prawie wszyscy w równie dobrze rzeźbili i malowali. Atoli po wynalezieniu litografii sztuka malarska stopniowo padała coraz niżej, aż wreszcie przekształciła się na przemysł techniczny. Nowa technika reprodukcyjna powstała w chwili wynalezienia fotografii. Dawniej i rzeźby reprodukowano przy pomocy miedziorytu ograniczoną ilość egzemplarzy jednego dzieła, — zaś nowa reprodukcja mechaniczna pozwala na odbijanie ich w nieograniczonej ilości. Naogół technika ta mało wspólnego ze sztuką. To samo da się powiedzieć ma o fotograficznych i fotochemicznych reprodukcjach, którym brak zwykle indywidualnego momentu artystycznego, zalet dobrego miedziorytu, nie bacząc na to, że odtwarzają obrazy z największą dokładnością. Cechą charakterystyczną przemysłu technicznego jest to, że obniża wartość reprodukowanych przedmiotów i usuwa indywidualne szczególności artystyczne. Czego się dziś nie robi pod firmą, sztuki! Nawet reklamy w pismach i na ulicach wystawia się przy pomocy upiększeń artystycznych. Sztuka stała się artykułem zbytu masowego i wskutek tego pozbawiona została swojej wartości.

„Muzyka automatyczna” również przyczyniła się do zmniejszenia wartości sztuki. Spopularyzowanie muzyki (w złem tego słowa znaczeniu) idzie w parze z udoskonaleniem technicznych i automatycznych instrumentów muzycznych. Wynalezienie fortepianu zapoczątkowało zmniejszanie tej wartości. Dziś każdy człowiek (chyba że wskutek nieszczęśliwego wypadku utraci palce) może nauczyć się grać na fortepianie, jak pies tańczyć i aportować; muzyka domowa w Niemczech świadczy o tem aż nadto wymownie.

Fortepian nie wiele różni się od samogrającego aparatu muzycznego. — Wystąpiła na scenę katarzynka, orchestrion i wreszcie pianola (piano obywatel bez człowieka!) Praca ludzka w okresie rozwoju reprodukcji muzycznej staje się zbyteczną. Kto nie wiele wymaga, może każdej chwili i małym kosztem „upoić” się muzyką. — Dziś sprzedaje się ją na łokcie i mierzy się czasem.

Nie koniec jednak na tem. Miejsce automatu muzycznego zajął fonograf, który chwyta wszystkie dźwięki nie wyłączając arji operowych. — Odtwarza je tymczasowo w sposób cokolwiek matowy i drżący, lecz w miarę doskonalenia oddawać będzie z fotograficzną dokładnością najdelikatniejsze odcienie dźwięku. Pielgrzymki do świętych miejsc muzyki zostaną zaniechane jako staromodne przedsięwzięcia.

Ale czy przynajmniej przy pomocy techniki reprodukcyjnej rozbudowano zamiłowanie w szerokich masach ludowych? Zdaje się, że zupełnie odwrotnie. Posięp techniczny nie jest postępem artystycznym, a łatwy dostęp i masowe dostarczanie sztuki najczęściej powoduje brak smaku. Musimy znów zwrócić uwagę na to, że reprodukcja mechaniczna, w najlepszym nawet wykonaniu, nie oddaje momentu artystycznego, który decyduje o wartości dzieła sztuki. — Cóż stanowi np. reprodukcja Böcklina w porównaniu oryginałem? Co najwyższej staje się wspomnieniem, przypominającym nam mistrza, lecz nigdy nie może ona zastąpić obrazu. Jeszcze w większym stopniu odnosi się to do reprodukcji muzycznej, która w sposób szczególnie wyraźny świadczy o tem, jak technika sztuki z powodzeniem współzawodniczy z właściwą sztuką i coraz głębiej wciąga ją w sferę szachrajstwa i spe-

kulacji handlowej. I mówią nam jeszcze o odrodzeniu sztuki w XX-em stuleciu!

V.

Uprzemysłowienie sztuki twórczej i sztuki rzemieślniczej.

Czy wogóle posiadamy sztukę i potrzeby artystyczne? Jeśli uczynimy przegląd naszych jarmarków salonów i sklepów sztuki, wydać się może, iż posiadamy dawne potrzeby artystyczne. I rzeczywiście istnieją te potrzeby, lecz nie wśród warstw kupującej publiczności; burżuazja nabywa dzieła wschodzących gwiazd artystycznych dla spekulacji handlowej, albo też zadawała się tem, że zawiesza ściany swoich salonów obrazami pseudo-sztuki. Natomiast wśród warstw średnich i w środowisku robotniczym dają się często zauważyć silne potrzeby estetyczne, lecz brak tam pieniędzy dla ich zaspokojenia.

Z chwilą kiedy sztuka utraciła swoje poprzednie znaczenie, musi się przystosować do istniejących warunków, liczyć się ze smakiem kupującej publiczności, a nawet czasem występować w roli reklamy, by mógł pędzić choć skromny żywot. Pomimo tego, że poszczególne jednostki ze sfery artystycznej znajdują się w dobrobycie materialnym, pomimo popytu na obrazy niektórych mistrzów, sytuacja ogólna pozostaje niezmienną.

Powodzenie materialne zarówno w sztuce, jak i w przemyśle zależy od zdolności merkantylnych producenta. Zdanie, że talent wybija się bez pieniędzy, zostało bezwzględnie obalone. Niektóre, szczególnie wytrwałe natury mogą dopiąć swego celu nawet bez odpowiednich środków pieniężnych, lecz należąc do wyjątków nie mogą być brane pod uwagę przy ocenie położenia artystów. Wybitni artyści współcześni w pierwszych chwilach swojej twórczości posiadali dostateczny zasób środków do życia. Inni znaleźli mecenasów, którzy umożliwili im wyłączone oddanie się sztuce. Max Klinger najpewniej nie rozwinąłby w tak krótkim czasie i tak wszechstronnie swego talentu gdyby zmuszony był walczyć z nędzą. Materiał, który był potrzebny do wykonania jego słynnego i wielce chwalonego „Beethovena”, sam przez się przedstawia już znaczny majątek.

Böcklin, będąc pozbawionym wszystkiego prócz talentu, musiał długo walczyć nim pozyskać należne mu uznanie, a nawet nigdy może nie byłby „rozumianym” gdyby nie znalazł swego mecenasa. Dziś jego obrazy przedstawiają olbrzymią wartość, co z punktu kapitalistycznej oceny rzeczy oznacza już przeto najwyższe uznanie.

Liebermann, konsekwentny obrońca naturalizmu w malarstwie i Hauptmann, apostoł naturalizmu w sztuce dramatycznej, nigdy nie cierpieli biedy, a jednak w sposób mistrzowski odtworzyli świat nędzy społecznej.

Mógłbym przytoczyć jeszcze wiele nazwisk wybitnych ludzi, którzy utrwaliли swoje znaczenie w sztuce poczęści dzięki odziedziczonym majątkom, poczęści zaś dzięki towarzyskim i handlowym stosunkom.

Lecz któż zliczy imiona tych, którzy marnie zginęli w uporczywej, ciężkiej walce o byt choć może obdarzeni byli olbrzymim talentem! (D. c. n.).

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Gabryela Zapolska. „O czym się nie mówi”, powieść współczesna. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Wielki talent Zapolskiej, talent o charakterze ściśle realistycznym, nie narzuca zjawiskom i sprawom

życia siebie, lecz bezpośrednio z nich wyrasta. Wyrzeczony jej metody twórczej nie jest stwarzanie rzeczywistości, tylko jej najdokładniejsza reprodukcja. Twórca, który punkt wyjścia swej twórczości znajduje wewnątrz siebie, to znaczy w odrębności swego stosunku do zagadnień świata, da tej odrębności w swym dziele wyraz immanentny. Jego filozoficzny, estetyczny i społeczny pogląd na życie wyrazi się zawsze przez wybór z całokształtu życiowych zagadnień tej specjalnej ich sfery, która rodzajowi jego temperamentu artystycznego zapewnia najbuźniejszy rozkwit, najszersze otwiera ujście dla twórczego rozmachu. Pisarza tego typu zawsze można w jego utworze odnaleźć. Jego indywidualna odrębność promieniuje zewnątrz tej artystycznej budowli, kształtowi jej nadaje zwężłość i konsenkwencję. Jego osobista, ludzka w dziele obecność zapewnia najgłębszą wewnętrzną prawdę stworzonej przezeń rzeczywistości.

Inaczej jest z talentem Zapolskiej. Dla niej wszelki temat życiowy jest jednakowo dobry — jako materiał trzeźwej, sumiennej obserwacji, jako materiał wernego odtworzenia. Pierwotny motyw twórczy powstaje poza nią. Wskutek tego znajduje się ona całkowicie nazewną tego, co opisuje. Ta metoda twórcza, polegająca na obojętnej narracji rozmaitych „szmatów życia”, wydała w dziejach powieści wiele pomnikowych arcydzieł. Artystyczna harmonja tego rodzaju utworów wymaga wszelako, aby twórca, stojąc nazewną opowiadanych dziejów, powstrzymał się zupełnie od wydawania wyroków o własnych bohaterach, odetycznego kwalifikowania ich czynków, aby nie wtrącał się do akcji i wogóle był w swym dziele nieobecny.

Tymczasem Zapolska w zupełnie realistycznych powieściach daje coraz częściej świadectwo swej autorskiej obecności przez celowe oświetlanie opisywanych zdarzeń zewnątrz, przez komentowanie ich w żądanym sensie.

Tą drogą wytwarza się jakiś tałszywy, dwojaki system artystyczny, który stanowi w twórczości Zapolskiej dysonans i wewnętrzną ideję utworu zastępuje często zewnętrzną, luźną, publicystyczną tendencją.

Powieść „O czym się nie mówi” jest dziejami romansu urzędnika Krajewskiego i prostytutki Frani. Wszelki interes artystyczny został w tej książce podporządkowany ściśle publicystycznemu celowi. Jestto książka niewątpliwie pożyteczna. Szerszy ogół dowie się z niej o wszystkich zgubnych wynikach reglamentacji. Ale czysto zewnętrzny, mechaniczny związek tego społecznego zadania z istotną treścią książki pogrzebał ją jako dzieło sztuki. Dysonans ten znajduje wyraz nawet w literackiej technice powieści: bieg akcji, oddającej niekiedy z głębią i psychologiczną subtelnością realną prawdę życiową i dzięki temu w pewien sobie właściwy sposób artystycznie pięknej, przerywa Zapolska przy byle okazji poetycznymi dygresjami, „modernistycznie” ujętymi w kropki, pełnymi przesady i zgoła niesmacznego patosu. Ta jakby koncesja na rzecz „nowych prądów”, psująca realistyczny charakter opowiadania, odbija się też w powieściach: „Jak tęcza” i „Córka Tułki”.

Istotną treścią powieści „O czym się nie mówi”, nieumyślnym jakby i rzeczywiście artystycznym jej motywem, jest psychologia kulturalnego człowieka, zakochanego w prostej dziewczynie.

To przeciwstawienie, obopulne niezrozumienie, bolesność niewiary, okłamywań, zazdrości oddała Zapolska z właściwą sobie wielką bystrością psychologiczną i wstrząsającą życiową prawdą. Te piękne, do głębi szczere artystycznie kartki budzą podziw ze względu na rzadką umiejętność, z jaką Zapolska transponuje na proste formuły narracyjne najzawilsze psychologiczne zawikłania.

Ciekawie, chociaż dość niedbale, zarysowany

jest kontur pani Gwozdeckiej. Wewnętrzne przeżycia Frani, prowadzącej podwójną grę życiową, były już znacznie trudniejsze do sformułowania. Zapolska ułatwiła sobie zadanie w ten sposób, że wszystko, co zachodzi w duszy Frani, pozwala oglądać czytelnikowi poprzez wrażliwość Krajewskiego. Cała psychologia zakochanej, maskującej się prostytutki eksponowana jest objawowo bez wewnętrznego rozświetlenia, zdradza się jedynie słowami i czynami, podczas gdy uczuciowe przeżycia Krajewskiego są szczegółowo opowiadane. Za pomocą tego uproszczonego systemu osiągnęła przecież Zapolska parę momentów istotnie pogłębionych i ciekawych; szkoda tylko że wyzyskała je zaraz nadmiernie, i przez to osłabiła, każąc Krajewskiemu przydługo je komentować i roztrząsać. Doskonale są też niektóre sceny ich współżycia.

Naturalny bieg tego stosunku autorka jednak wygina raz po raz dla owych celów natury publicystycznej. Każę na przykład przeżytemu wyrafinowanemu panu cenić w tej młodej, świeżej, ale wybitnie trywialnej dziewczynie przedewszystkiem zalety duszy, delikatność uczucia, przedziwną mądrość rozumienia jego myśli i najsztubtelniejszych wierzeń — po to tylko, żeby się mógł później odpowiednio zmartwić, odkrywszy w niej prostytutkę. W tym samym celu subtelny i kulturalny pan Krajewski ma jakąś szaloną awersję i pogardę dla prostitutek i bez wahania oświadcza, że nie poszedłby nawet na grób takiej, gdyby umarła, taka zaciekłość jest mało prawdopodobna u kogoś, kto sobie zdaje sprawę z całokształtu przyczyn prostitucji. Wreszcie w ciąglem współnem pożyciu długo nie orjentuje się co do życiowego stanowiska Frani, chociaż dla czytelnika jest ono odrazu oczywiste.

Autorka insynuuje, że cały tragizm stosunku tych dwojga wynika z faktu, iż Frania jest prostytutką. Posiadanie czarnej książeczki jest bezpośrednią przyczyną jej samobójstwa. — Nie należy jednak wierzyć autorce na słowo. Ze szczerych i bezpośrednich, z najpiękniejszych kart jej książki widoczne jest, że dramat takiego stosunku tkwi zupełnie gdzieindziej. Tkwi mianowicie w nieprzebytej rozpadlinie, jaka istnieje pomiędzy przeżytem, egoistycznym, wskutek znużenia sentymentalnie nastrojonym człowiekiem kulturalnym, a młodą, namiętną, łaknącą życia dziewczyną pierwotną. Pragnienia i interesy życiowe tych ludzi są przepaściste różne. I chociaż przy zbliżeniu możliwa jest nawet miłość, współżycie ich musi wytworzyć takie piekło wzajemnych udręczeń, jakie panuje pomiędzy Franią i Krajewskim. W nim musiały się obudzić nadmierna zazdrość i podejrzliwość, usprawiedliwiona różnicą zapasu życiowej energii. W niej — sentyment połączony z szacunkiem dla delikatnego i kochającego, ale źle ubranego i wysoce niepraktycznego pana musiały ustąpić kiedyś przed bardziej życiową, bardziej normalną pasją dla elegancjkiego reisendera. Stałoby się tak, chociażby Frania była naprawdę szwaczką a nie prostytutką. — Przypomnijmy sobie, że Lamiel Stendhala uciekła od pięknego, szlachetnego duca, aby zostać później kochanką jakiegoś łotra, że zupełnie podobnie postąpiła w stosunku do Szczerbica Ewa Żeromskiego. A w tym momencie obie one nie były jeszcze prostytutkami. — Zasadniczy dysonans, pierwotna przyczyna dramatu leży wewnątrz wzajemnego stosunku takich dwojga, a nie — jak zapewnia Zapolska — nazewnątrz niego. Takie tendencyjne sfalszowanie pierwotnego zamiaru twórczego sprawiło, iż sensem moralnym powieści jest: zniesienie reglamentacji w tym celu, aby takie Franie mogły być wiernymi kochankami sfatygowanych życiem urzędników.

W zewnętrznej formie książki znać zaniedbanie, język zeszepeczony jest naleciałościami lwowskiego dialektu nie tylko w tych miejscach, gdzie leżało to w intencji autorki. Dystyngowane damy mówią tam:

„Powiedz pan” i t. p. Niewiadomo też, czemu na str. 8-ej Descartes nazwany został „ojcem filozofji scholastycznej”.

Z.

*Helena Mniszek. — Trędowata. *)*

Co jest największym wrogiem twórczości? — Przypuszczam, że łatwość wypowiedziania się.

P. Helena Mniszek, przystępując do pracy literackiej, posiadała po temu wiele danych: znajomość świata, dobrze rozwinięty zmysł obserwacyjny, wyobraźnię bujną, nawet styl nieźle wyrobiony; ale przedewszystkiem — ma ową łatwość pisania, i dlatego ciężką Kalwarję przejść musi, wielką z sobą stoczyć walkę, zanim poskromi własną gadatliwość i da dzieło o wartości rzeczywistej.

„Trędowata” takim dziełem nie jest. W powieści tej — jak w kolejdoskopie — przed oczami czytelnika przesuwają się dobrze pochwycone charaktery, sylwetki ciekawe, sytuacje o napięciu dramatycznym; ale wszystko zatapia się w powodzi słów, zacierających dobre wrażenie, jakie wywołać mogą poszczególne sceny czy opisy.

Temat „Trędowatej” stary i pospolity, jakbądź typy z niej nieczęsto można spotkać w literaturze. Jestto dobrze pochwycony świat najwyższej sfery społecznej, świat odrębny, zamknięty w sobie, złożony przeważnie z ludzi, których jedyną zasługą jest ich „urodzenie”. Na tle szarej masy fanatyków sferowych dają się spotykać jednostki dzielne, poczuwające się do łączności ze społeczeństwem oraz do obowiązków względem niego. Lecz ogół arystokracji spędza życie jałowe, wśród ciągłych zabaw i wiecznego spleenu, które jedynie wówczas nabiera pewnej intesywności, gdy pobudza je do tego bodziec zewnętrzny, o tyle silny, o ile zagraża interesom sferowym.

Oto w świat arystokracji rodowej wdziera się w charakterze nauczycielki zwykła szlachcianeczka, zrazu drażni magnata, lecz wkrótce podbija jego serce, a co za tem idzie — przepełnia „sferę” trwogą, aby ów magnat nie zdecydował się na popętnienie mezaljansu. Magnat istotnie zamierza żenić się z szlachcianeczką. „Sfera” nie może na to pozwolić, i choć nawet najbliższa rodzina magnata daje mu się wreszcie przekonać (ub. argumentami niezbyt wymownymi), to przecie znajdują się wśród arystokracji hrabiowie Barscy i Cwilecy, jednostki zdolne do obrony „honoru” sfery, którzy, bezczeszcząc szlachcianeczkę drogą anonimów, zabijają niemi „trędowatą” i pozbywają się w ten sposób niepożądanego w sferze gościa.

Taką jest główna treść powieści, pełnej scen zbytecznych, banalnych, nawet zgoła nudnych i drażniących (rozmowy służby). Ale obok nich spotykam sceny niezmiernie ciekawe. W pierwszym tomie „Trędowatej” znajduję dobry opis burzy morskiej, pełen odczucia grozy, i doskonałą scenę w sali portretowej zamku głębowickiego; nadto na str. 342. charakterystyczną rozmową dwóch arystokratów. W tomie drugim wiele jest miejsc głębiej ujętych i pozostawiających po sobie wrażenie. (Nprz. rozdziały 9, 22, i 29). Wprost znakomitą jest para młodych ludzi: Rity Szeliżanki i hrabiego Trestki. Dla tych właśnie miejsc (jest ich kilkadziesiąt stronic z ogółu str. 900) niepodobna rzucić kamieniem na autorkę i odradzać jej dalszych prób na polu twórczości literackiej; należy jedynie ubolewać nad tem, że pośpieszyła się z drukiem swych pierwocin, za jakie uważam „Trędowatą”. Powieść tę powinna być poczytywana jedynie za ćwiczenie — i jako takie — zachować na dnie biurka,

*) Warszawa, 1909. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 2 tomy, stronic 900.

albo, co lepiej, spalić, albo wreszcie wydać, lecz po zasięgnięciu wskazówek wybitnego znawcy piśmiennictwa. Bo już w ćwiczeniu tem są obrazy wykonane, na pokaz.

Życzę p. Mniszek, aby w swych utworach następnym nie dała się unieść prądowi słów i zerwała ze studjowaniem życia w przejawach zewnętrznych, ale wydobyła z siebie moc, silną objąć treść chwili, treść zdarzenia, zdolną wyczuć ich wartość. Niechaj spoili sobie fakty, czyny i ludzi, aby odrodzić z nich czysty ich sens. Niechaj da nam już obrazy żywe — nie z życia, lecz żywe: z uczucia i z woli.

Stefan Sierżputowski.

MŁODOŚĆ ROBOTNICZY.

(2)

Nie mogłam regularnie chodzić do szkoły, będąc zmuszoną zarobkować i dzień każdy stracony dla szkoły był dniem gorliwej pracy. Wreszcie za to, że opuszczałam szkołę, skazano matkę na 24 godziny aresztu. Pierwszego dnia zjawili się policjanci i wprowadzili ją, ponieważ nie zgłosiła się sama w oznaczonym terminie. Matka nigdy tego zapomnieć nie mogła, że ją pracowitą kobietę i troskliwą matkę narażono na taki wstyd. A jakże ja wstydziłam się! Nie śmiałam wyjść na ulicę, gdzie o niczem innym nie mówiono, jak o uprowadzeniu mojej matki przez policjantów. Wszyscy potępiali ten brutalny środek znając przyczynę osądzenia. Nauczyciel często przekładał matce, by mnie regularniej posyłała do szkoły. Uważał mnie za zdolną i upewniał, że może „być coś” ze mnie, jeżeli regularniej będę uczęszczała do szkoły. Zawezwano nawet mego opiekuna, który był tego zdania, że biedne dzieci powinny pracować i ufać Bogu, wtedy nie będzie im źle. Co niedziela z książką do nabożeństwa musiałam być u niego i słuchać nauk o pobożności i pokorze. Pomoc okazywana mi przez tych ludzi, sprowadzała się do obietnicy, że zdobędę równe im stanowisko, jeżeli pójdę tą drogą, co oni. Ponieważ moje drogi były inne, więc pieniądze spływały do kasy proboszcza, który zresztą i tak miał się dobrze, nie czyniąc sobie z tego żadnych skrupułów.

W dziesiątym roku życia ukończyłam trzy klasy, szkoły ludowej i w tym czasie przejechałyśmy do miasta. W szkole nie byłam już zapisana i władza zdawała się nie wiedzieć o mojem istnieniu, gdyż nigdy potem nie stwierdzono mojej nieobecności; to jednak miało swoje uzasadnienie. Ponieważ matka nie umiała pisać, ja musiałam wypełnić kartę meldunkową; nie uważając się za dziecko, odpowiednią rubrykę zostawiłam niewypełnioną i w ten sposób byłam niezameldowana w policji.

„Jesteś już duża dziewczyna i powinnaś już porządnie zarabiać, mówiła mi matka.“ Jakże chętnie uczyłabym się, zostać nauczycielką to był mój ideał, była to fantazja nieziszczalna i wtedy już zdawałam sobie z tego sprawę.

Sprowadziliśmy się do małego pokoju, zajmowanego przez parę małżeńską. Oddano mnie do pracowni, gdzie uczyłam się szydełkowej roboty: przy pilnej dwunastogodzinnej pracy zarabiałam 20 do 25 krajcarów dziennie. Zabierając robotę na noc do domu miałam o kilka krajcarów więcej. Gdy wczesnym rankiem o 6 godzinie biedz musiałam do roboty, inne dzieci w moim wieku spały jeszcze. A kiedy o 8 wieczorem spieszyłam do domu, te inne nakarmione szły na spoczynek. Kiedy schylona nad robotą szczepiałam oczka, wtedy one bawiły się, szły na przechadzkę, lub uczyły się w szkole. Wtedy dolę swoją uważałam za coś naturalnego i żyłam jednym tylko pragnieniem: choć raz móż się wyspać. Kiedy czasami

zdarzało mi się, że mogłam spać dowoli, wtedy to już nie było szczęściem, ta sposobność zdarzała się w czasie bezrobocia, lub choroby. Często w wieczory zimowe, gdy już w zmęczonych palcach nie mogłam igły utrzymać, kładłam się spać, z bolesną myślą, że rano, tak wcześnie wstać, muszę. Matka wstawiała mi do łóżka krzesło, bym mogła trzymać nogi w ciepłe i dziergałam w dalszym ciągu. W późniejszych latach nawiedzało mnie uczucie bezgranicznego rozgoryczenia, że nie nie zaznałam z ucieszeń dzieciństwa i szczęścia młodości.

Kobieta u której mieszkaliśmy zajmowała się wróżeniem przyszłości młodym dziewczętom i kobietom, i z tego żyła.

W pięknych barwach odmalowała również i moją przyszłość. Oczywiście główną rolę miał odegrać mężczyzna, rozumie się bogaty. Ta kobieta mogła być fatalnie na mnie oddziaływać. Mnie dziesięcioletnie dziecko karmiła pochlebstwami, stroiła we wstążki i obdarzała łakociami. Zapewniała mnie, że zawsze mogę mieć to wszystko, matka tylko nie powinna o niczem wiedzieć. Na szczęście matka moja nie miała do niej zaufania i najęliśmy dla siebie oddzielny pokoik. Młodszy mój brat powrócił i zamieszkał ze swym kolegą. Czworo nas było w jednym małym pokoiku bez okna i światło przenikało doń jedynie przez szpary drzwi.

W ciągu roku nauczyłam się bardzo wielu robót szydełkowych bo skorom tylko dowiedziała się, że gdzieindziej dają za chustkę o krajcara więcej, porzucałam dawne miejsce. W ten sposób dostawałam się w coraz inne środowisko i nie mogłam się przyzwyczaić do żadnego miejsca. Miałam sposobność przyjrzenia się wielu stosunkom rodzinnym.

Podstawą egzystencji rodzinnej przeważnie było wyzyskiwanie dziewcząt. Wszędzie byłam najmłodsza i aby to nie było powodem jeszcze gorszej płacy, podawałam się za starszą, co mi się udawało dzięki memu wzrostowi i powadze.

Miałam dwunasty rok kiedy matka znalazła dla mnie odpowiednie zajęcie. Obrałam sobie teraz jeden zawód, który przy pracy i pilności dużo miał mi przynieść. Ze względu na mój wiek znowu musiałam wstąpić do magazynu na praktykę do mojej krewnej u której uczyłam się 12 godzin dziennie wyszywać upiększenia z perełek i jedwabiu. Stałego lonu nie pobierałam; moja krewna z góry obliczała wiele można zrobić w ciągu godziny i płaciła za godzinę 5 krajcarów. Trzeba było pracować bez minuty wytchnienia, to przechodziło siły dziecka w moim wieku, zrozumie to każdy, kto umie ocenić czem jest dwunastogodzinna praca. Z jakim utęsknieniem spoglądałam na zegarek, gdy już zbyt bolały mnie pokłute palce, gdy czułam się zupełnie wyczerpana. A kiedy wracałam do domu, już to w piękne dni letnie, czy to w mroźne dni zimowe, zawsze zabierałam ze sobą robotę do domu. Nad tem cierpiałam najbardziej. Praca nocna pozbawiała mnie jedynej przyjemności.

Czytałam chętnie. Czytałam co wpadło mi w ręce, co znajomi pożyczyli lub udało mi się kupić u antykwariusza za dwa krajcary, odejmowane sobie od ust. Opowiadania indyjskie, historia kolportera i tym podobne — wszystko to znosiłam do domu. Zajmowały mnie opowiadania o zbójcach i nieszczęśliwych królewnych: „Rinaldo Rinaldini“, „Katarzyna Kornaro“, „Roza Sandor“, „Izabella Hiszpańska“, „Marja Stuart“, i inne z których czerpałam wiadomości historyczne. Żyłam jak we śnie. Utożsamiałam się z bohaterkami książek. Powtarzałam w pamięci ich słowa, przejmowałam się ich obawami. Myślą byłam w innym świecie i wokół siebie nie widziałam cierpienia. Ponieważ matka nie umiała czytać, lektura moja nie podlegała kontroli. A więc w trzynastym roku życia czytałam Paul de Coque’a, ale tak niewinnymi wy-

dawały mi się te swawolne opowiadania francuskie, że z najdokładniejszymi szczegółami opowiadałam ich treść, i nie mogłam pojąć dlaczego mój brat i jego kolega śmieli się z tego, w czym ja nic rozweselającego nie widziałam. Dużo bardzo opowiadałam, prawie dosłownie powtarzałam dialogi: znana byłam ze swych opowiadań. W wieczory niedzielne chodziłam do mojej pani i tam opowiadałam; zapraszało mnie również wiele rodzin z naszego domu. Jakże nienawidziłam niedzielnej roboty, którą czasami trzeba było wykończyć. Dwa lata przebyłam w terminie. I w tym czasie zaznałam wiele krzywd, których surowość i bezduszość tembardziej odczułam, że pochodziły one od krewnych. Co sobotę robiłam duże porządki i dzisiaj jeszcze buntuję się, tak, jak wtedy — kiedy pomyślę, czego odemnie wymagano, i jak postępowano ze mną. Musiałam nosić wodę w ciężkiem wiadrze z dość odalonego źródła; wtedy nie było jeszcze wodociągów. Obcy ludzie często mi pomagali z litości. Moi krewni uważali, że powinnam się przyzwyczaić do wszystkiego, gdyż: „wielką panią przecież nie będzie” — mawiali. Jakże nienawidziłam tych ludzi, a szczególnie obojga dzieci, które wywierały na mnie wszystkie złości, do których były zdolne.

Śmiały się z mojej biedy, cieszyły się, widząc mnie bosą. Ponieważ do magazynu było kilka kroków, matka uważała za marnotrawstwo noszenie bucików w dzień powszedni. Rzemiosło moje zależne było od sezonu, wskutek czego dwa razy do roku po kilka tygodni zostawałam bez roboty. Matka starała się dostarczyć mi w tym czasie innego zajęcia, ja również na własną rękę szukałam. Czytałam ogłoszenia gdzie poszukiwano robotnic. Było najtrudniejsze to stereotypowe pytanie: „czy nie mogłabym dostać?...“

Tego upokorzenia jeszcze dzisiaj doznaję. Często osuszałam łzy gwałtem cisnąc się do oczu, zaczęłam mówić przemówić. Miałam 13 lat i wyglądałam prawie na dorosłą, gdy poszukiwałam roboty w fabryce bronzów, zwierchnik, stary niski pań, wypytał mnie o lata, warunki rodzinne i zamówił na następny poniedziałek. Dostałam miejsce w gronie dwunastu dziewcząt i nareszcie znowu znalazłam się w ciepłym pokoju. Nauczono mnie szczerzać łańcuszki i wkrótce nabrałam wprawy. Zwierzchnik mój sprzyjał mi; byłam najmłodszą robotnicą, wkrótce jednak więcej zarabiałam, niż u krewnych. Dziesięć miesięcy pracowałam w bronzowni. Dostałam za zdolności ładne ubranie i wszystko, co było potrzebne do przyjemnego wyglądu. Zwierzchnik wyróżniał mnie, mówił do mnie prawdziwie po ojcowsku i utwierdzał w postanowieniu unikania przyjemności, której się oddawały moje towarzyski pracy. Chodziły one w niedziele na tańce, o których potem opowiadały. W przerwach rozmawiały z młodemi robotnikami i chociaż tych rozmów nie rozumiałam, miałam wrażenie, że tak nie powinno się mówić. Po kilku miesiącach nadarzyła mi się inna praca, lepiej płatna. Ta jednak była forsowniejsza, gdyż pracowałam przy gazie.

Wargi mi pobjadły, opanowało mnie wielkie nieprzewyciężone znużenie z zawrotami głowy.

(D. c. n.)

UPADEK GABINETU CLEMENCEAU.

Po zwycięstwie, odniesionem przez Clemenceau nad Jaurésem uchwalono votum zaufania rządowi większością 345 głosów przeciw 99.

W kilka dni po rozprawach nad stanem marynarki francuskiej odrzucono votum zaufania większością 212 głosów przeciw 176.

Upadek Clemenceau jest faktem pierwszorzędno

znaczenia. Ze sceny polityki czynnej schodzi jedna z najbardziej wybitnych jednostek Francji. Rzecznik radykalizmu, nierównany mówca i polemista — przez szereg lat prowadził swą partję do zwycięstwa w imię hasła ultrademokratycznych. Oddziaływał silnie na opinię Francji, w duchu radykalnym, obalał gabinety z nierównanem mistrzostwem, z każdych wyborów wyprowadzał swoje stronnictwo wpływowsze i potężniejsze. Po wyborach w 1906 roku radykali stali się partją rządzącą i oficjalną. Clemenceau stanął na czele gabinetu pełen uznania, dobrej sławy, władający umysłami miliona Francuzów. Zdawało się że wybiła godzina reform, zapowiedzianych oficjalnie z trybuny parlamentarnej w chwili ukonstytuowania się gabinetu.

Deklaracja ta pozostała jednak po dzień dzisiejszy niezrealizowanym dokumentem, a Clemenceau schodząc obecnie ze sceny składa smutne świadectwo oportunistu i spaczenia hasła radykalno-solidarystycznych o których triumf walczył w czasie swej długoletniej działalności politycznej.

Do znaczenia upadku gabinetu Clemenceau powrócimy w najbliższym numerze.

KRONIKA.

— Kancelarja Kursów Naukowych komunikuje, że programy Wyższych Kursów Rolniczych wyszły z druku i otrzymywać je można bezpłatnie w tej-że kancelarji (Włodzimierska 3/5., gmach Stowarzyszenia Techników we wtorki i piątki w godzinach biurowych wraz z programami innych sekcji a mianowicie: wyższych kursów technicznych, wydziału matematyczno-przyrodniczego i humanistycznego.

— Ministerjum przemysłu i handlu opracowuje obecnie projekt specjalnego departamentu pracy.

Nowy departament zogniskuje całą procedurę w sprawie różnego typu ubezpieczeń robotniczych, ogólne sprawy dotyczące najmu, normowania czasu roboczego i ustosunkowania pomiędzy pracą i kapitałem.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

(Według wykazu) księgarni G. Centnerszvera i S-ki.

- Program Wyższych Kursów Technicznych* — urządzonych przez Sekcję Techniczną Tow. Kursów Naukowych w Warszawie, na rok akademicki 1909/10. Warszawa. 1909.
- D'Ambes*, *Memoires inédits sur Napoleon III* — 45
- Billi*, *Paris vieux et neuf* 2.25
- Challaye F.* *Le Congo francais* 2.25
- Delorme J.* *Soldat* — 65
- Delarue* — *Mardrus*. *Le roman des six petites filles* 1.40
- Ellis*, *L'inversion sexuelle* 2.25
- Galopin Arnould*. *Mémoires de Constant, premier valet de chambre de Napoleon I-er* 2.25
- Maël Pierre*, *La main d'ombre* 1.40
- Mauclair Camille*. *Victor Gilsoul* 4.50
- Maxwell*, *Le crime et la société* 1.40
- Montfort*, *La chanson de Naples* — 68
- Nion*, *La peur de la mort* 1.40
- Poncray Jaffre*, *Allemands contre Slaves* 1.40
- Regamey*, *Les honnetes dames allemandes* 1.40
- Rolland Romain, Jean* — *Christofshe á Paris*
- Sand George* 1.05
- Verlaine* 1.05
- Saint Saëns*, *Portraits et souvenirs* 1.40
- Teirlinck Herman Jef Lambeaux* (*L'Art flamand & Hollandais* № 5. 1909) 1.25
- Villiod*, *Comment on nous vole au jen!* 1.40
- Wells*, *L'île de L'aepyornis* 1.40



Idealny pokarm —
 — dla niemowląt
 oraz dla osób dorosłych — chorych
 na żołądek.

Kaucjonowane i zatw. przez Minist.

Biuro Ogłoszeń

p. f. DOM HANDLOWY

I. Buchweitz

Warszawa, Marszałkowska 120, tel. 43-52

przyjmuje ogłoszenia do wszystkich pism świata na korzystnych warunkach.

Gratis sporządza kosztorysy, udziela rad i wskazówek, redaguje i tłumaczy, dostarcza egzemplarze dowodowe.

„KURJER“

Pismo Codzienne

Polityczno-Społeczno-literackie w Lublinie.

KURJER jest prowadzony od 3-ch lat przez grono inteligencji w duchu postępowym. Jako organ wolny i niezależny podjął przede wszystkim zadanie służenia demokratyzacji społeczeństwa polskiego ze szczególniejszym uwzględnieniem warstw pracujących.

KURJER wskutek swojego programu narażony jest na ciągle i nieustanne walki z obskurantyzmem i wstecznictwem — zakorzenionymi na nieszczęście jeszcze tak głęboko w naszym narodzie.

Mimo to, dzięki bogatemu materiałowi literackiemu — dzięki śmiałości i szczeremu podejmowaniu wszelkich kwestji społecznych — Kurjer zajął wyjątkowe stanowisko w naszej prasie prowincjonalnej.

Dążeniem Kurjera jest przez ciągłą i wytrwałą pracę stworzyć wielką kulturalną placówkę, jednoczącą wszystkie wysiłki ludzi, którym istotnie dobro kraju leży na sercu.

Prenumerata „Kurjera“ wynosi:
 w LUBLINIE

Rocznie rb. 5, półrocz. rb. 2 k. 60, kwart. rb. 1 k. 30, mies. k. 45.

Z rzeszyką pocztową

Rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3, kwart. rb. 1 k. 50, mies. 50 kop.

ZAGRANICĄ: wysyłamy codziennie — kwartalnie rb. 3.

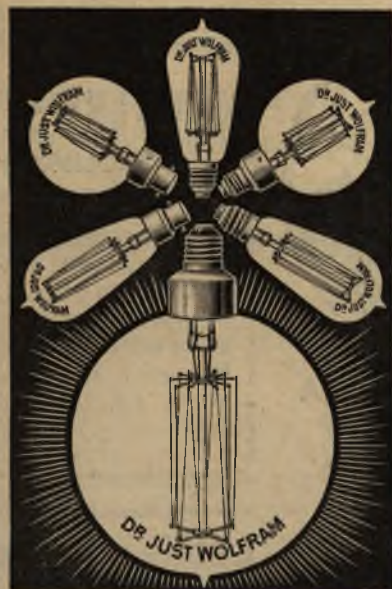
wysyłamy półtygodniowo — kwartalnie 2 rb.

Adres Redakcji i Administracji: Lublin, Krak.-Przedm. 60.

Skrzynka pocztowa № 62.

Cena ogłoszeń: Na 1 stronie wiersz jednoszpaltowy petitem lub jego miejsce 25 kop., na 3-ej stronie 15 kop., na 4-ej stronie 10 kop. Margines środkowy jednorazowo 4 rb., następne razy 3 rb. Nekrologi za wiersz 25 k.

ŻARÓWKA WOLFRAMOWA „D-ra JUSTA“



70% oszczędności prądu.

Okres palenia około 1,000 godz. bez widocznej straty wydajności światła.

I wat na świecę normalną.

Nieczuła na wstrząśnienia może być stosowaną zarówno do prądu stałego jak i zmiennego.

Jasne i przyjemne dla oka białe światło.

Siła świetlna w świecach normalnych.

2 — 80 woltów dla różnej ilości . . .	świec normalnych.
80 — 135 „ „ 25, 32, 40, 50 i 100	„ „
136 — 175 „ „ 40, 50 i 100	„ „
176 — 250 „ „ 50 i 100	„ „

Bez zwyżki ceny dostarczamy **ŻARÓWKI WOLFRAMOWE „D-ra JUSTA“**, palące się w **każdym** położeniu dla **każdego** napięcia prądu i **każdej** ilości świec normalnych.

ODPRZEDAWCY OTRZYMUJĄ ZNIŻKĘ.

Dostawa szybka.

Cenniki bezpłatne.

Zjednoczone Tow. Akc. Żarówek i Elektryczności

Oddział żarówek wolframowych

ŹJPESZT 4 pod Budapesztem.

Przedstawiciel

Inż. Stefan Szczawiński i S-ka

Warszawa, Wierzbowa 2, telefon 179-09.

WYDAWNICTWA NAUKOWE

„SPOŁECZEŃSTWA“

- U. Sinclair.** „Trzęsawisko“. Wydanie kompletne w dwóch tomach, z portretem autora. Cena rb. 1 k. 50.
Narodowa Demokracja, przez Ludwika Kulczyckiego. Cena 20 kop.
Anarchizm w obecnym ruchu społeczno-politycznym w Rosji, przez L. Kulczyckiego. Cena 50 kop.
Kwestja rolna w programach partji rosyjskich a ruch wolnościowy w Rosji przez K. Zalewskiego. Cena 15 kop.
W państwie przyszłości, przez d-ra A. Pannekoeka. Cena 15 kop.

- F. Lassale.** Program robotniczy. Cena 10 kop.
St. Brzozowski. Ich rewizjonizm. Cena 10 kop.
Paulsen. Kant i jego nauka. Z 5-go wydania niemieckiego przełożyli wyjątkami z „Krytyki Czystego Rozumu“ i „Krytyki Praktycznego Rozumu“ uzupełnił J. Wł. Dawid.
Sully Jakób. Dusza Dziecka. Cena rb. 2 kop 50.
J. Wł. Dawid. Zasób umysłowy dziecka. Przyczynek do psychologii doświadczalnej. Cena kop 50.
J. Wł. Dawid. O wykładzie psychologii jako nauki doświadczalnej. Cena kop 50.
Ribot. O wyobraźni twórczej. Cena kop. 25.
 Wysłać zamówienia do administracji „SPOŁECZEŃSTWA“.
 Warszawa, Żórawia 29, telef. 116-67.

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!

SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE!

SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE!

HERBATA z gór HARCU

(Dr. Lauer's Harzer Gebirgstee).

Zalecana przez najstynniejszą powagę lekarską, zatwierdzona przez departament Med. przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu jest jedynym z niezbędnych środków dla utrzymania zdrowia. Napój przyjmowany w ilości 2—3 filiżanek tygodniowo, leczy: wyrzuty, liszaje, uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, artretyzm, cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy, choleryny. **Cena pudełka 1 rb., 1/2 pudełka 50 kop.**

UWAGA: Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

JÓZEF GROSSMAN. Warszawa, Śliska № 33a. Telefon 184-44.

Za miejscowym wysłaniem za zaliczeniem od 1 rb i z odliczeniem na koszt przesyłki. Wystrzegać się falsyfikatów i podrabianych etykiet.

Fabryka mebli żelaznych i wózków dzieciennych



Telefon fabryki 44-66.
Firma istnieje od 1878 r.

I. NEUFELDA



Telef magazynu 44-23.
Firma istnieje od 1878 r.

WARSZAWA-PRAGA.

Fabryka: Praga-Brukowa 4. — Skład fabryczny z oddziałem pościelowym: Warszawa, Marszałkowska 114.

Wyroby fabryki: Meble żelazne: łóżka angielskiego i wiedeńskiego fasonów i zwyczajne, kolebki, umywalki, szafki nocne i t. d. Meble żelazne ogrodowe, wózki dziecięce i welocypedy, własnego pomysłu, siedzenia druciane do bryczek i linijek w zupełności zastępujące resory.

Fabryka dostarcza: wszelkiego rodzaju meble żelazne dla różnych Instytucyj: Szpitali, Hoteli, Koszar i t. d.

DOBROLIN najlepsza krajowa pasta do obuwia w 4-ch kolorach — nie traci na deszczu polysku i nigdy nie wysycha.

PUMITOL znakomity kamień do czyszczenia płóciennego i zamazowego obuwia w 6 kolorach nie brudzi ubrania ani rąk — cena 25 kop. za pudełko.

SPRZEDAJĄ WSZYSTKIE SKŁADY APTECZNE

Fabryka M. Łoziński i S-ka

WARSZAWA, — Furmańska 9, Telefon 149.00.



BEZ ZAPRZECZENIA

że prawdziwe wino „St. Raphael“ Kompanji wina Valence (Drome) Francja.



jest lecznicze, wzmacniające i podniecające siły, pomaga trawieniu i znakomite w smaku. Wystrzegać się podrabiań. Każda butelka zaopatrzona pieczęcią Libawskiej lub Odeńskiej komory celnej.

PENSYONAT

KOWALEWSKIEJ

w SKOLIMOWIE

p. Piaseczno, g. warszawska.

Zakład pierwszorzędny zalecany przez lekarzy. Pokoje umeblowane z całkowitem utrzymaniem od rb. 2 dziennie. Wszelkie możliwe wygody. Telefoniczne połączenie z Warszawą.

Letnie mieszkania

do wynajęcia w willach ładnie położonych w lesie. Lokale, składające się z dwóch pokojów i kuchni w cenie od 40—75 rb.

St. BANOCHA, kolejki podjazdowej Górno-Kalwaryjskiej.

Bliższe wiadomości na miejscu lub telefonicznie w Warszawie (46-78).

RICINUS SICCOL

Idealny środek przeczyszczający

OLEJ RYCIŃOWY W PROSZKU.

Doza dla dzieci za 5 kop., dla dorosłych za 10 kop.